

# Przełom

Redaktor:

Dr. Witold Lewicki.

## TREŚĆ:

<i>Dr. Tadeusz Rutowski:</i> Gorączka Brazylijska. II. . . . .	913
<i>Karol Wróblewski:</i> Czyny czy zjawiska . . . . .	927
<i>Fr. Rawita:</i> Kobieta nowożytna. . . . .	936

---

Wychodzi co sobotę.

Cena kwartalnie 2 złr. 50 ct., numer pojedynczy 30 ct.

---

Prenumeratę należy przysyłać pod adresem:  
Redakcja „Przełomu“, Wiedeń, VIII., Bannplatz 5.

---

## WIEDŃ.

Skład główny we Wiedniu w księgarni Wilh. Frick, I. Graben Nr. 27  
we Lwowie w księgarni Jakubowskiego & Zadurawicza  
w Krakowie w księgarni S. A. Krzyżanowskiego.

1895.





→ Wiedeń, dnia 14 grudnia 1895. ←



## Gorączka Brazylijska i sprawa emigracyi.

### II.

Wobec memoryałów Komitetu św. Rafała i Towarzystwa handlowo-geograficznego wysłanych do Koła Polskiego wskutek krytycznych głosów, które odezwały się na posiedzeniu z 19. listopada, zmuszony jestem, jeszcze chwilę zatrzymać się przy „gorączce Brazylijskiej“ i jej powodach, zanim przejdę do uwag i wniosków pozytywnych, na których musi przedewszystkiem zależeć.

Kto się interesował zjawiskiem emigracyi w kraju naszym, na zachodzie i na wschodzie, ten się dawno musiał pogodzić z myślą, że to fenomen zupełnie prawidłowy, mający zupełnie jasne podstawy ekonomiczne, społeczne, nawet inne jeszcze, żeśmy z pod praw powszechnych, którym ludzkość podlega nie wyjęci, że tedy i u nas silny przyrost ludności, bez odpowiedniego wzrostu warunków ekonomicznych, w kraju bez przemysłu i miast, musi powodować stałą emigrację szukających zarobku po za krajem, a nawet szukających nowej ojczyzny.

W różnym stopniu, ale po całym kraju powoduje normalne wychodźstwo rolnicze niesłychanie szybko postępujące rozdrobnienie własności ziemskiej, i stopień intensywności wychodźstwa schodzi się zupełnie ze stopniem rozdrobnienia.

Brak przemysłu, górnictwa, rąk nie zatrudnia, przemysł domowy ledwie dysze, całemi gminami, całemi okolicami doszczętnie zaginał.

Brak przemysłu rolniczego, prócz kilkuset gorzelni o kilkomiesięcznym ruchu, brak upraw roślin handlowych, wymagających więcej rąk, maszyny rolnicze skracające zimowe zajęcia i zarobek, to powody olbrzymiej „siły rąk“ bez roboty. W wielu okolicach wycięcie lasów odebrało zimowy zarobek, a łatwo udowodnić, że w okolicach o zaszanowanych lasach i stałym leśnym gospodarstwie emigracya mniejsza. Ztąd wschodnie kresy, gdzie do powodów dodać należy jeszcze i wielkie dzierzawy, bezleśne lub po dewastacyi lasów tem więcej narażone na emigracyę.

Z kmiecia została legenda, średnia chłopska własność znika, zagrodnik kilko-morgowy staje się typem, jeszcze jeden, dwa podziały familijne zrobią z zagrodnika chałupnika o skrawku ziemi, na którym ani żyć, ani umierać. Gospodarstw zaprzężnych ubywa rok rocznie, liczba właścicieli kilku sztuk bydła ubywa, właścicieli jednej lub dwóch przybywa.

Kilka cyfer. W roku 1859 było 799.783 płacących podatek gruntowy, w roku 1892 było ich 1,420.000, wiek się zamknie z jakimi dwoma milionami. Jesteśmy w peryodzie rozpadania się gospodarstwa włościańskiego na parcele. Na tysiąc płacących w Galicyi podatek gruntowy, wypada 879 p. na takich, co najwyżej do 5 złr. płacą, z tych około pół tysiąca niżej 1 złr. W krajach chłopskich, t. j. o typowej średniej własności chłopskiej, płaci na tysiąc podatników w Niższej Austryi 442 wyżej 10 złr., w Salzburgskim 385, w Galicyi jest takich 49, na tysiąc właścicieli. W Galicyi 86% własności rolniczej daje zaledwie do 30 złr. dochodu katastralnego.

Rośnie liczba chałupników bez sztuki „grubego“ bydła. Typowa hodowla, to 1—2 sztuk na właściciela, na 1000 jest takich 545, gdy w Czechach zaledwie 281. Średni chłop, hodowca o 6 do 20 sztuk bydła jest w Galicyi prawie nieznan; gdy takich jest w Czechach 366, to w Galicyi 84, czyli, że to już własność folwarczna i większa.

Podział spadkowej ziemi w naturze z niesłychaną szybkością rozbija własność chłopską w puch. Znana rzecz, że zostawianie sumy spadkowej przy hipotece, i spłacanie jej później, czy to pożyczką bankową, czy sumą posagową, czy z dorobku w Galicyi jest w najmniejszej mierze praktykowane z krajów austriackich, długi spadkowe prawie nie ważą, grunt się dzieli, wydziela, parceluje, na wydzielinie staje nowa chałupa, nowa zagroda, nowa rodzina.

Montesquieu niegdyś mówił: „Partout ou il se trouve une place ou deux personnes, peuvent vivre commodément, il se fait un mariage.“ Chłop galicyjski tego warunku, żeby „dwoje mogło żyć wygodnie“ wcale nie potrzebuje, żeni się jeżeli tylko jest choćby parę zagonów dla młodej pary, i mnoży się biblijnie na przekór Maltusom, nic nie oglądając się na teorye o stosunku przyrostu ludności do wzrostu środków wyżywienia.

Ze wszystkich krajów austriackich Galicya przodem idzie z 8·61 małżeństwami na 1000 mieszkańców, gdy szereg krajów ma 5 do 6, a typem mało co nad siedem. „Da Pan Bóg dzieci, da i na dzieci,“ toć nietylko dla szlachcica przysłowie. To też mnoży się na pociechę każdego, co i w tem widzi siłę żywotną rasy i narodu, że mimo bied i nieszczęść, rośnie szybciej niż sąsiedzi, na passyę tych, których ten rozrost polskiej rasy na dobre niepokoi.

Ze wszystkich krajów austriackich znowu Galicya na pierwszym miejscu z 45·15 żywo urodzonymi dziećmi na 1000 mieszkańców, to znaczy o 7·23 więcej nad przeciętny przyrost we wszystkich krajach Austrii, o 15 i 16 więcej od szeregu krajów alpejskich. Gdyby nie większa śmiertelność wzrost byłby jeszcze większy. Mimo to, gdy nadwyżka urodzin nad śmierci na tysiąc mieszkańców wynosi w 13 krajach austriackich między 3 a 8, gdy w Czechach wynosi 8·96, na Morawie 9·03, na Śląsku 10·87, przeciętnie w całej Austrii 10·81, to w Galicyi wynosi 16·46!

Zaludnia się kraj, z 69 w 1869, wzrosła ludność na 1 kilometrze kwadratowym na 76 w lat dziesięć, na 84

w r. 1890, wiek zamkniemy z pewnością z przeszło 90 ludźmi na kilometrze kraju rolniczego, bez miast i przemysłu, gdy ich Francya ma 71, cesarstwo niemieckie 91, Prusy 86, w czem Poznańskie 60, gdy Królestwo Polskie ma 70, a Rosya europejska zaledwie 18 na kilometrze.

Otóż nauka udowadnia, że rozdrobnienie własności ziemskiej idzie zawsze w parze z zwiększaniem się liczby małżeństw i przyrostem ludności. W krajach o prawnej, czy zwyczajowej niepodzielnosci gruntu, n. p. w krajach alpejskich, gdzie system kmiecy, niedzielonej wielkiej chłopskiej własności dominuje, byłaby lub jest stagnacya, lokalnie nawet ubytek ludności, i byłoby, gorzej gdyby nie — nieślubne dzieci chłopskiej czeladzi. To też narodowo, na całej linii we wszystkich krajach austriackich cofa się ludność niemiecka w porównaniu do słowiańskiej, a polska i ruska idą przodem.

Nie mamy obliczeń, ile u nas potrzeba roli na wyżywienie rodziny. W Bawaryi obliczono 5—10 hektarów, żeby chłop miał na cały rok chleb własny, 2—5 na pół roku, to pewna, że cyfra tych Halbjahres- czy Vierteljahresbrodbauern u nas rosnać musi z każdym rokiem.

Otóż chociaż stosunkowo nader korzystny podział własności małej z 60·6% w stosunku do wielkiej z 39·4% całego obszaru, (choć okolicami kraju ten stosunek się mniej korzystnie przedstawia), chociaż niema olbrzymich obszarów ziemi związanej fideikomisami, jak n. p. w Czechach, coż dopiero mówić o Anglii, gdzie ks. Sutherland ma 1700 kilom. kwadratowych, a jego żona 800, i chociaż zaczął się u nas proces parcelacyi wielkiej własności, który zamienia z każdym rokiem już całe wsie szlacheckie w chłopskie parcele, własność chłopska drobnieje, proletaryzuje się, w wielu okolicach nie może już wyżywić rodziny, nawet przy zarobku we dworze, tu i ówdzie w górnictwie, czasowo przy budowach publicznych.

Zarobki rolnicze małe, porównawcze studia wykazują, że są najniższe w Galicyi z krajów austriackich.

Do tego światowe przesilenie rolnicze, zniżka cen niesłykana, stała i beznadziejna, gospodarstwo hodowlane przy roz-

drobnieniu ziemi trudne, przy niskiej oświacie — brak zaradności, technika gospodarcza mizerna, postępy bardzo małe.

Przytem wzrost ciężarów publicznych, państwowych olbrzymi, autonomicznych nie bez znaczenia, długi rosną. Odrobina oświaty wnosi wzrost potrzeb.

Odplywu nadmiaru ludności do miast niema; kiedy w innych krajach przemysłowych wzrost miast i ognisk fabrycznych pochłania ogromne ilości włościańskiej ludności, u nas niema czego szukać w mieście, zarobek stały minimalny, potrzeba pewnej służby męskiej i żeńskiej, nawet chwilowy zarobek zimowy, n. p. usuwanie śniegu — windykuje dla siebie — podupadły, deklasowany rzemieślnik, (patrz wypadki we Lwowie, przed kilku laty — szewcy zamiatający ulice).

Górnictwo w kolebce, przemysł naftowy znaczenia lokalnego i stosunkowo bardzo mało zatrudnia robotnika.

W takich warunkach emigracya musiała stać się zjawiskiem normalnem. Nic nieznacząca jeszcze lat temu kilkanaście, rośnie z rokiem każdym. Jak wielka dziś — nikt nie wie, urzędowe cyfry wiedzą o częstotliwości wyjazdów, prawdy dowiadujemy się dopiero przy spisie ludności z różnicy między cyfrą ludności, jaka wypada z nadwyżki urodzin nad śmiercią a faktyczną, która obejmuje jednak i immigracyę. Statystyk, emigracyi Austria dotąd nie ma.

Na zachodzie kraju emigracya starsza i znaczna, są okolice, gdzie niema rodziny, która by nie miała członków swoich za morzem.

Za zarobkiem wychodzi chłop, zwłaszcza Mazur z dawna, idzie Bandos do Królestwa na żniwa, do buraków, góral z kosą po całej Polsce, do Węgier, do krajów austriackich. Nowe czasy przywiozły emigranta amerykańskiego, w nieścisleń znaczeniu, właściwie szukającego zarobku w Ameryce. Poszukiwanie pracy lepiej płatnej, wydatniejszego zarobku, ale z pragnieniem powrotu, to był do niedawna typ naszego emigranta.

Taka emigracya ma swoje dobre strony, znane wszędzie. Może dać niezatrudnionym, lub źle wynagrodzonym w kraju ręką zarobek często znakomity, który skapitalizowany płynie

do kraju, wzmacnia rodziny pozostałe, umożliwia spłatę długów, powiększenie warsztatu pracy, dokupionych parceli, to wiadome. Zarobek w Stanach Zjednoczonych dla naszego chłopca wynosi 6—15 razy tyle co w kraju. Urodzony i tradycyjny wegetaryjanin mimo szybkiego przywyknięcia do nieznanego w kraju pożywienia, zarabia Mazur znacznie więcej nad potrzeby życia. Obliczano dla Włochów zarobek w Ameryce tak, że w ciągu 300 dni pracy zarobi na 1000 do 2000 dni życia w roku, czyli że na osobę skonsumuje trzecią do szóstej części zarobku, jeden może wyżywić liczną rodzinę, lub kapitalizować oszczędności. Obliczają zarobki skapitalizowane przez 100.000 Włochów, idących za granicę za zarobkiem na 20 do 100 milionów franków rocznie, nawet znacznie więcej. A drugich 100.000 idzie na stałą emigrację bez powrotu.

Potrzeba — a możebna — ścisłej statystyki pieniędzy przesyłanych z Ameryki do rodzin emigrantów naszych w kraju. Są to sumy znaczne, lokalnie niepospolitego znaczenia. Luźne obliczenia na podstawie uogólniania znanych wypadków, prowadzą do przesady. Rocznie przychodzi do kraju coraz więcej, w ostatnich latach między dwa i pół a trzy i pół miliona.

Z cyfry tej należy strącić znaczącą rubrykę pieniędzy jako zwróconych pożyczek na podróż. Gdy każdy emigrant zabierze z sobą pewną kwotę (na Mazurach liczą 130—150 złr. na głowę — w Niemczech 350—400 marek), to zbilansowanie nie wykaze jeszcze wyniku takiego, jaki mają owe kraje. Emigranci niemieccy zabierają z sobą rokrocznie około 35 do 40 milionów marek, nie licząc wcale „wartości człowieka“, a zwłaszcza odchowanego człowieka, w sile wieku.

Nie będę się rozwodził nad przestarzałą dziś kwestyą, czy emigracja korzystna, czy niekorzystna. Że w danych warunkach jest nieunikniona, to nauka dawno udowodniła, że jest pod pewnymi warunkami korzystna, na to mnóstwo dowodów, że jej bez usunięcia powodów usunąć nie można, co się równa niemożności zatamowania jej, uczy populacyonistyka i doświadczenia krajów o starej emigracji, i myślącej polityce emigracyjnej; to też doświadczenia uczą, że mniejszy, lub większy stopień korzyści, lub w danym wypadku szkodliwości nie jest



niezależny od środków, jakich może użyć kraj, państwo mające emigrację.

To też od opozycji naukowej przeciw emigracji, od polityki tamującej gwałtem, zakazami, środkami repressyi aż po dzisiaj dominującą teorię o korzyściach emigracji i konieczności zamienienia „polityki emigracyjnej“ w „politykę kolonizacyjną“ zrobiła nauka i polityka olbrzymią drogę w ciągu wieku.

Usuwać powody emigracji w domu, o ile się da, to i dziś postulat pierwszy, gdy to niemożliwe w całej pełni, ani nawet w części, to kierować emigracją, by się odbywała z najwyższym dla macierzystego kraju pożytkiem, to uznany już postulat drugi.

Tamować emigrację — to zamienić państwo w więzienie, mówił Bentham. Cała nauka angielska stanęła na stanowisku korzyści emigracji. Emigrant, ustępujący się z przeludnionej okolicy, robi miejsce drugim, podnosi płacę pozostałych, ułatwia egzystencję, więc i rozrost pozostałych. Emigrant na krańcu świata, to rozsądnik rasy angielskiej, to pionier potęgi Brytanii, to przyszła kolonia, nowe terytorium, nowa *dominio* angielska, przyszły odbiorca angielskich wytworów, nowy czynnik ekonomiczny dla macierzy ojczyznej.

Francya o stagnacji ludności, zagrożona cofaniem się, o fenomenie wytworzonym zboczeniem cywilizacyjnym, że znikomy przyrost jest *le resultat d'une volonté bien ferme, bien réfléchie, bien arrêtée de n'avoir pas d'enfants*, doszła dziś do nauki o konieczności emigracji, kolonizacji, a dominuje nad teorią Leroy-Beaulieu, prawie entuzyasta za emigracją i kolonizacją.

W Niemczech, mimo niepospolitych, pełnych samowiedzy i stanowczości wysiłków dla kolonizacji wewnętrznej, zaludnienia torfowisk i piaseczniczek północno-niemieckich, walki i rugowania iunych narodowości siłą państwa, nauka nie zajmuje się już kwestyą, czy i dlaczego emigracja, tylko kwestyą, co trzeba, by 100.000 emigrantów rocznie, z największym pożytkiem dla państwa i narodu niemieckiego pokierować. Dla

Schaefflego kolonizacya zamorska, to jeden z środków załatwienia kwestyi społecznej.

We Włoszech o 200.000 rocznej emigracyi, z czego 100.000 nie wraca do ojczyzny, olbrzymia naukowa i publicystyczna literatura, polityka rządu, już tylko myśli o wyzyskaniu emigracyi, pokierowaniu, kolonizacyi, bo dla Ferrary, Elleny, Nitti'ego, dla Del Vecchio, Nazzani, Maggiore-Perni nie może być wątpliwości, że emigracya „ha salvato il paese” — uratowała i ratuje ojczyznę.

Otóż, kto na świat patrzy, a kraj zna, musi się pogodzić ze zjawiskiem stałej emigracyi, jako zjawiskiem normalnem, nieuniknionem. Ale, że wielka część korzyści, jakie ma emigracya zamorska dla krajów samodzielnych, dysponujących potęgą państwową, siłą morską, mogących myśleć o państwowej kolonizacyjnej polityce, jest dla narodu bez samodzielności niedostępna, więc i polityka nie może być kopią i małpowaniem.

Otóż jeżeli z jednej strony sporo powodów emigracyi daje się w jakiejś mierze modyfikować, jeżeli nie usunąć, jeżeli wiele środków zatrzymania części i emigracyi w domu, w kraju, regulowania przeludnienia lokalnego na rzecz części kraju źle zaludnionych, kolonizacyi wewnętrznej, jeszcze nie napoczętych, że więc jeszcze zadań w domu niemało a wdzięcznych -- to z druginij strony zaprzeczyć się nie da, że to co nauka i praktyka krajów samodzielnych przynosi, nie jest i nie może być gotową i dla nas nauką.

Tymczasem wypadki, rozwój dziejowy idzie szybciej jak nasza nauka i nasza polityka. Jeszcześmy nie zrobili na polu środków wewnętrznych, usunięcia części powodów emigracyi, jeszcześmy nie zrobili kroku na polu kolonizacyi wewnętrznej, a mamy przed sobą zjawiska emigracyi tłumnej i postulata polityki kolonizacyjnej zamorskiej. Tak samo: jeszcze się przemysł nie urodził, a mamy przed sobą socyalizm.

Jeszcześmy sobie sprawy nie zdali, gdzie u nas, jaka, w akich cyfrach odbywa się istotna emigracya, ile z tego wraca, ile zostaje poza ojczyzną, które powody nie do usunięcia, a które są do zmodyfikowania — jeszcześmy nie zrobili

kroku ze strony kraju i państwa, jeszcze się spieramy co do kogo należy, a przychodzą zjawiska coraz nowsze, coraz szybciej, coraz większe.

Jak wszędzie, tak i u nas, za emigracją powrotną, za zarobkiem, poszła emigracja stała. Emigrant, szukający zarobku, sprowadza żonę, dzieci, rodzinę, wieść o powodzeniu względnem, często świetnem, list, przysłana zachęta, szyfkarta, ciągnie brata, siostrę, swata. Rosną centra emigracyjne na obczyźnie, rośnie „Polska czwartej dzielnicy“, kto zabrał żonę, dzieci, a sprzedał co miał w kraju, zaczyna się oswajać z obczyzną, nie ma po co wracać, traci łączność z krajem — emigrant zamienia się w kolonistę stałego.

Do tego przychodzi zjawisko tłumnych emigracji, nagłych, gorączkowych, epidemicznych ruchów ludowych, „wędrowek narodów“. Przeżyliśmy pierwszą ogólno-polską gorączkę brazylijską zaraz po inaugurowaniu kolonizacyjnej polityki przez rząd brazylijski, w r. 1891 i 1892, mamy ją znówu dziś w Galicyi, niebezpieczną próbę masowej emigracji do Rosyi z kilkunastu powiatów wschodnich mieliśmy w r. 1892.

Szkicowałem ekonomiczne powody emigracji, zasłaniałem dawniej klęski elementarne, smutnie bogata literatura nasza na temat „biedy“ i „nędzy“, od autora „biedy na Rusi“ po autora „Nędzy galicyjskiej“ malowało szarą dolę naszą szaro i czarno wielu, temat nie wyczerpany. I nie napisano też wszystkiego, a poznać trzeba z gruntu i trzeźwo stan prawdziwy, by radzić gdzie można, a nie łudzić się i robić co trzeba.

Na taką szarugę biedy, w dom mizeraka przychodzi jak promień słońca list emigranta, brata, swata, siostry z Ameryki, mówi o dolarach zarobku dziennego, ba przysyła na zapłatę długu, na przykupno gruntu, na spłatę rodzeństwa, kapitalik „do obracania“ do rozpożyczenia między sąsiady, zjawia się żywy świadek z lepszego świata, co ojcowiznę, wykupi, pomnoży. Taki list jeden robi dziesięciu emigrantów, kilku takich żywych świadków rozbudza emigrację całych okolic. Szyfkarta przysłana przez krewnego, pociąga innych członków rodziny, emigracja staje się zjawiskiem codziennem całych części kraju.

Ale na ten sam grunt dostaje się list, odezwa, reklama handlarza żywym mięsem, spekulanta, który żyje przewozem, który gotów wyludnić całe okolice, byle miał czem zapełnić zwischendeki statku, który prócz prawdy, że na szerokim świecie są kraje, w których więcej miejsca, zarobku, ma jeszcze wszystkie środki reklamy, przesady, kłamstwa, byle przed okiem biedaka roztoczyć złudne widziadła bogactwa, obszarów, płonów, możliwie największej miary szczęścia, z najmniejszym wysiłkiem pracy.

Tak się rodzą emigracye chorobliwe, tłumne.

Niech się nagle rozejdzie wieść, że gdzieś daleko, jakiś król czy państwo ma do rozdania ziemię i istotnie ją rozdaje, że ją daje za darmo, lub pozornie za darmo, że ją daje w płatkach po kilkadziesiąt morgów, z lasami, łąkami i pastwiskami, że płaci podróż, daje kartę na przejazd morzem — a wywoła na całym świecie emigracyę tłumną. Świadkiem skutki, jakie wywołały oferty tego rodzaju południowo-amerykańskich krajów na różne narody, gromadne wędrowki po tego rodzaju ogłoszeniach Paragwaju, Argentyny, Brazylii.

Cóż dopiero ciemny chłop galicyjski, im dalej na wschód, ciemniejszy. Leciał na oślepi, gdy mu podszeptano, że car, co go umiłował, po pomorach kilku lat, rozdaje pustki, wierzył, że to nie car, ale cesarzewicz Rudolf. Cóż dopiero, gdy słyszy teraz, że w Brazylii dają ziemię za darmo, istne obszary dworskie, z lasem, z chałupą, że go wyżywią trzy ćwierci roku, że go zawiozą darmo. Agent emigracyjny się wciska z reklamą, tu bieda, podatki, egzekucye, służba wojskowa — tam raj. Ci, co mu odradzają, co go wstrzymują, co mu i drugą stronę obrazu pokazują, to oczywiście ci, co nie chcą jego lepszej doli, co chcą jego tanich rąk i pracy.

Cóż dopiero, jeżeli przez niezręczności, przez nierozwagę przyłączy się do tak wystarczających powodów, jeszcze i głos poważniejszy, jakaś organizacya, jakaś propaganda, która może mieć najchwalebniejsze zamiary, a przez nieznaną sprawę, popełnia błędy.

Tak samo, jak n. p. kryzysy giełdowe, paniczne przesilenia, „czarne piątki“ mają swoją naukową literaturę, tak

samo sprawa „tłumnych emigracji“, tych nagłych paroksyzmów wychodźstwa, które nie są niczem innym tylko nowoczesną „wędrówką narodów“, mają swoją ogromną literaturę. Wszak kraje oddawna mające olbrzymią emigrację stałą, przywykłe i pogodzone z tym fenomenem, mają od czasu do czasu szalone paroksyzmy masowego wychodźstwa i myślały o zapobieganiu temu, a nawet zarządzały odpowiednie środki. Że wspomniem Szwajcaryę, Włochy, Niemcy, nawet Anglię. Szalone emigracje włoskie w r. 1888 i 1890, włoska „gorączka brazylijska“ w r. 1881<sup>1)</sup>, wywołały kroki parlamentu i rządu. Warto przypomnieć, że takie „wybuchy“ emigracji spowodowały sumę zarządzeń angielskich nawet, o których powiemy później.

Jeszcześmy nie doszli do tego, by jasno wiedzieć, co trzeba w domu robić, czego żądać od państwa, którego poważną częścią jesteśmy, jeszcze Sejm, kraj nie zajął stanowiska wobec normalnej emigracji, a stoimy przed całym kompleksem kwestyi, jak uchylać złe strony emigracji, czy zostawić proces cały naturze, czy usiłować położyć na nim rękę, jak zapobiegać gorączkom, jak z najmniejszym cłem, z największą korzyścią pokierować, jeżeli pokierować trzeba — gdzie, dokąd kierować, żeby ten upust polskiej i ruskiej krwi nie marnował się dla macierzy — aniśmy się spostrzegli, jak stanął przed nami problemat — polskiej kolonizacji za morzem, tak samo, jak przed Anglikiem, Włochem, albo Niemcem.

A teraz przypatrzmy się, jak się wobec niezawodnego już od dawna, a ciągle rosnącego zjawiska emigracji, po kilku paroksyzmach gorączki emigracyjnej, zachował się kraj, Sejm, Rząd państwowy, jakie zadania mamy przed sobą.

\* \* \*

Zanim jednak w następnym artykule przejdę do wniosków, niech mi wolno dorzucić kilka uwag do pierwszego mego artykułu o gorączce brazylijskiej.

Od czerwca 1890, to znaczy od chwili, gdy rząd brazylijski przeznaczył olbrzymie fundusze na subwencyonowanie

<sup>1)</sup> W r. 1890 30.519, w r. 1891 183.738, w r. 1892 54.993 poszło do Brazylii.

emigracyi i rozdaje kolonistom grunta, jest cały ruch emigracyjny w Europie pod wpływem tego doniosłego faktu, a kwestya czy Brazylia, czy nie Brazylia, tematem nie schodzącym z porządku dziennego literatury i polityki emigracyjnej i kolonizacyjnej.

Kiedy mówić będę o „kierowaniu“ emigracyi, wskażę bliżej, jak się tworzyły u nas jednostronne poglądy, i jak rychło pewien kompleks myśli spowodował istną propagandę emigracyi do Brazylii, mianowicie zaś do stanu Parana, z jaką łatwością rozwiązano kwestyę niesłychanie zawiłą i trudną do rozwiązania dla Niemca, Włocha, cóż dopiero dla nas, — w jakiej mierze w tej propagandzie jednostronnej uczestniczył „Przegląd emigracyjny“ i ludzie przy nim się grupujący. Na tem miejscu muszę tylko kilka uwag dodać o towarzystwie św. Rafała.

Nie przyszłoby mi na myśl z Wiednia chcieć dochodzić, w czym leżały nieostrożności, czy niezręczności w tej akcji zresztą chwalebnej św. Rafała, na które wskazywało tyle korespondencyj po dziennikach, listów do posłów etc. Ale patrzyłem na te ekspedycje wychodźców pod opieką św. Rafała w i a Wiedeń, czytałem sporo odezw i komunikatów, czytałem afisze i spisy delegatów w różnych powiatach i przyszedłem do przekonania, że tu są błędy, że tu humanitaryzm pobałamucił się z „narodową polityką kolonizacyjną“ i czułem, a wypowiedziałem to naprzód i dawno w Kole, że się z tego zrobi niezamierzona, ale w skutkach taka sama — propaganda emigracyi do Brazylii.

To spostrzeżenie uczyniły starostwa w kraju i Namiestnictwo. To też do moich uwag i głosów z kraju dodają poważny głos byłego Namiestnika Galicyi, który w czerwcu b. r. przestrzegał św. Rafała przed błędami taktycznymi, mogącymi wywołać skutki niezamierzone, ale niemniej niefortunne.

L. 6880  
pr.

Do Szanownego Komitetu św. Rafała  
we L w o w i e.

W relacjach Starostw przekonałem się, że w niektórych powiatach kraju, w których nie objawiała się dotychczas gorączka

ani agitacja emigracyjna, zauważono pewien ruch w tym kierunku dopiero od chwili, gdy Sz. Komitet począł rozsyłać swoje odezwy i ustanawiać mężów zaufania.

Jakkolwiek z pewnością nie było zamiarem Sz. Komitetu rozbudzać ruch wychodźczy między ludem wiejskim nie ulega wątpliwości, że w niektórych powiatach czynność Sz. Komitetu i jego mężów zaufania wywołała ten wcale niezamierzony skutek. Jeżeliby rzecz miała się dalej rozwijać w tym kierunku, czynności Sz. Komitetu wobec następstw, które z nich wynikają, uważałyby należało za wcale niepożądane. Dlatego ostrzegam Sz. Komitet i zaznaczam z góry, że w razie ponownego sprawozdania tego niepomysłnego wyniku działalności Sz. Komitetu musiałbym zakazać Sz. Komitetowi dalszego ekspedycyowania wychodźców, a w danym razie postarać się nawet o rozwiązanie Towarzystwa.

*Badeni m. p.*

*Lwów, 29 czerwca 1895.*

A skoro tak skwapliwie ogłoszono memoriał, prostujący „opinię Koła“ i członków, którzy mieli nieco samodzielności w sądzie, to się może i to przyda dla wiadomości publicznej.

Otóż chociaż Komitet powoływał na delegatów ludzi „przeciwnych wyludnieniu“, księży, członków rad powiatowych i t. p., to tu i owdzie sama misja delegata, rozpytywanie się, nawet rady przeciw-wychodźcze wywoływały raczej przeciwny skutek. Powoływano delegatów z okolic o notorycznej emigracji, ale także, jak pisał Komitet w memoriale do Rządu w swojej obronie z 18. lipca b. r. delegowano w okolicach: „co do których z góry można było powiedzieć, że tam (prąd emigracyjny) dojdzie“.

Były niezręczności w pośrednictwie szyfkart okrętowych, w radach czy, kiedy, czy już może chłop sprzedać grunt, w afiszach. Jeżeli się to wszystko zsumuje, to trudno się dziwić, że chłop agitowany przez spekulantów pospoliczych, Gorgoletów i jego ludzi, a choćby Nodarich, przez listy i reklamy agentów, widząc nagle i firmę świętego Rafała, zajmującego się Brazylią, nie słuchał tej części uwag delegata św. Rafała, czy czytanego mu okólnika, które mówiły o trzymaniu się ojcowizny, o niebezpieczeństwach emigracji, tylko już tych, które odnosiły się do wyjazdu do Brazylii „skoro nie może być

inaczej". I uwierzył, jak mówił ks. Prałat Chotkowski, że i św. Rafał, to biuro wychodzące.

W przeświadczeniu, że stowarzyszenie takie jak św. Rafała, może w dobrem zrozumieniu humanitarnego celu, w granicach ściśle określonych znamienite oddać usługi, wyrażamy nadzieję, że odżyje, że się zreformuje, a nabytem doświadczeniem bogatsze, otrząsnąwszy się może z jednostronnych wpływów a choćby ludzi, spełniać będzie nadal szczytne swoje zadanie.

(Ciąg dalszy nastąpi).

*Dr. Tadeusz Rutowski.*





## Czyny czy zjawiska.

Profesor Gumplowicz jest jednym z najwięcej znanych i podziwianych socyologów. Zwłaszcza we francuskim świecie uczonym zasłużył sobie na cześć i szacunek, jakby na potwierdzenie onej zasady, że podobno nikt nie może być prorokiem we własnej ojczyźnie. Był czas, kiedy ubiegał się o katedrę na wszechuicy krakowskiej i spotkał się z bolesnym zawodem.

Osoby wówczas miarodajne w „naszych polskich Atenach“ podawały za przyczynę, że prof. Gumplowicz jest im obcym, nieznanym. Dziś z gorzkim uśmiechem na ustach przychodzi czytać w zagranicznych pismach naukowych obok jego nazwiska: Professeur à l'université de Graz. Ironią losu, że ci, co ongi tak byli przeciwni owemu „homo novus“, dziś stali się nieproszonymi heroldami jego sławy. Kiedy genialnem swem dziełem „Der Rassenkampf“ (drukowanem w tłumaczeniu francuskim „Lutte des races“ u Guillauna w Paryżu r. 1893), prof. Gumplowicz dał światu dowody, że jest prawdziwie szermierzem wielkich, nowych idei przyszłości, kiedy Bourget na jego tezie osnuł głośny swój romans „Cosmopolis“, a M. Brunetière w „Revue des Deux Mondes“ (15. Stycznia 1893) nazwał prof. Gumplowicza twórcą nowej historyozofii, poczęli i nasi sofisci krakowscy i cała synagoga starych grzeszników tubalnymi głosey wielbić „naszego wielkiego, polskiego socyologa“.

Dary boże nie idą nigdy na marne; uczeni i ludzie idei są apostołami i bezwiednie idą za głosem: Nie słuchają was w ziemi jednej, strzepcie pył z nóg waszych i idźcie do drugiej. Tam znajdują posłuch pewny, tylko biada ziemi, którą opuścili.

Jak wyglądają nasze katedry filozoficzne we Lwowie i Krakowie, a jakimi byćby mogły gdyby nie opieka sofistów i augurów. Rzekło się to ad tristem rei memoriam, a teraz wprost do rzeczy.

Wszystkie zagadnienia socyologiczne można sprowadzić do alternatywy, czy dziejowe wypadki i cały łańcuch faktów stano-

wiących ewolucję historyczną jest zjawiskiem naturalnym, czy też wynikiem czynu. A więc: Czyny, czy zjawiska — oto teza, którą ma autor udowodnić.

Przedewszystkiem jednak, czem jest zjawisko natury. Poprostu jest to zdarzenie powstające i trzymające się w całym swym przebiegu pewnych stałych praw. Takim n. p. jest wschód i zachód słońca. Dotychczas przypuszczano tylko zjawiska w anorganicznym i organicznym świecie i same tylko nauki przyrodnicze starały się odkryć i sformułować prawa ich powstawania i ewolucji. Geologia, astronomia, chemia i fizyka bada zjawiska świata anorganicznej materii, botanika zastanawia się nad fenomenami organicznymi, zoologia i fizjologia zajmuje się sprawami życiowymi, psychologia wnika w zjawiska duchowe. To było też zawsze piętnem umiejętności i wiedzy w przeciwieństwie do sztuki, że dążyły zawsze do poznania praw, na których opiera się wszystek świat, widomy, aby nie tylko mózdz zrozumieć wszystkie zjawiska i oznaczyć ich przyczyny, ale przepowiedzieć także ponowienie się tych samych zjawisk i ich ewolucję.

Jednej tylko nauce historii nie udawało się to dotychczas i dlatego historia do dziś dnia nie jest jeszcze wiedzą, bo historycy opowiadali tylko czyny ludzkie, a nie zdołali zdobyć się na wskazanie ewolucji zjawisk socjalnych, odbywającej się wedle praw naturalnych. Czuli dobrze wady swej wrzekomej nauki, ale nie wiedzieli, gdzie szukać na nie leku. Szkoła teologiczna nie trapiła się bardzo tym brakiem naukowego piętna w historii. Bossuet pisał historią, jak pisali Biblią natchnieni pisarze, albo jak pisał Grzegorz de Tours „Gesta Dei par Francos“. Według nich Bóg jest motorem pierwszym i to istotnym wszystkiego, Bóg działa wszystko i historia powinna dla tego ograniczać się na tłumaczeniu każdego zwyczajstwa jako nagrody za cnotę, każdej klęski jako kary za porzucenie dróg pańskich.

Kiedy zjawili się encyklopedyści i rozpoczęły się tryumfy „wolnych myślicieli“, kiedy nauka we wszystkim badała przyczyny pierwsze, kłopot historyków wzmógł się bardzo.

„Co robić — pyta sam siebie Voltaire — z tą dziwną rozmaitością obyczajów, praw rewolucji, kiedy wszystko zdaje się działać z jednej zasady samolubnego interesu“.

W burzowinach rewolucyj, przepełniających dzieje świata nie upatruje on nic innego, jak tylko wewnętrzny związek i spójnię przyczyn i skutków, porywających ludzi, „jak wiatr unosi piasek, morza porusza odmętą“.

Dla Voltaira cała historia jest stekiem zbrodni, szaleństw i nieszczęścia, wśród których tu i ówdzie napotka się na cnotę, na

błysk dni jaśniejszych, jak i na pustkowiu, napotyka się na szatry koczownika.

Zjawiają się wreszcie i materyaliści, jak Mirabaud (pseudonim barona Holbacha, autora „Système de la Nature“) szukających wytłómaczenia historii w prawach fizycznych. „We wszystkich zjawiskach, które przedstawia człowiek od urodzenia swego do śmierci, widzimy następstwo przyczyn i skutków zgodne z prawami wszechświata. Cały jego sposób postępowania, jego namiętności uczucia i czyny są nieuniknionym produktem jego charakteru. Każdy jego czyn jest wynikiem siły bezwładności i ciężenia ku samemu sobie, siłą odpychania i przyciągania, dążności do zachowania samego siebie, słowem — energii wspólnej mu ze wszystkimi istotami widomego świata, która w człowieku objawia się tylko w sposób szczególny.

Przeszczepienie wszakże praw fizycznych na grunt socjalny nie udaje się zgoła. Wielkich wypadków socjalnych i dziejowych nie można wytłómaczyć siłą przyciągania i odpychania, nie tłumaczy to także zdobyczy ducha ludzkiego w rozwoju cywilizacji.

Człowiek wszakże z natury swej jest upartym w badaniu i starał się wciąż o nadanie historii naukowej podstawy.

## I.

### Bankructwo filozofii historii.

Jedni idąc za ideą przewodnią Montesquieu'ego, rozwój socjalnej starają się uzasadnić wpływami klimatu. Montesquieu sam ideę republikańską związał z pięknem niebem Grecyi, despotyzm północnej Europy tłumaczył mroźnym klimatem północy, wieczną mgłą tych okolic i zimnem.

Jego uczniowie i następcy wyluszczaają tę samą myśl na wszystkie możliwe sposoby; Buckle stara się wmówić w czytelników, że człowiek przez wegetacją zostaje cały pod wszechwładzą klimatu i naukowo broni tezy Moleschotta, jakoby człowiek w znaczeniu fizycznym i moralnym był rezultatem tego, co je. (Der Mensch ist, was er isst). Ale już sami filozofowie niemieccy odrzucili te wrzekomo naturalistyczne poglądy, pytając się, dlaczego pod pięknym niebem greckim Turcy nie zostali republikanami, dlaczego nie powtórzyły się czasy Peryklesa.

Filozofowie ze szkoły Kanta nie byli szczęśliwsiymi w rozwiązaniu zagadnienia. W rozwoju ludzkości wskazują na pewną prawidłowość, która każe przypuszczać istnienie jakichś praw na-

turalnych. Tych praw nie szukają wszakże w dziedzinie ducha ludzkiego.

Dla nich wszystkich, a w pierwszym rzędzie dla Hegla ludzkość i narody są tylko narzędziami, któremi posługuje się absolut do objawiania siebie. Filozof wszakże pruski nie znał historii tej całej ludzkości, jakże więc mógł nam wskazać ideę i ducha historii.

Chiny są dla niego stanem „martwoty“, bo nie zna ich historii, tak samo nie istnieje dla Hegla i Ameryka z wielkimi państwami, które wyprzedziły jej odkrycie i z tym olbrzymim rozwojem, do jakiego doszła w ciągu naszego wieku. Kabalistyczną swą filozofią z formułami o jaźni, absolutie, idei pisał Hegel namyślnie na to, aby despotyzm azyatycki przemycić do Europy. Dlatego Heglianizm stał się filozofią państwową w Niemczech; Prusy robi „siedzibą absolutu i Boga w historii“, króla pruskiego celem ostatecznym całego rozwoju ludzkości.

Dlatego też filozofia Hegla skończyła żywot jędrki jednodziówki. Reakcja w Niemczech była tak silną, że długi czas wystarczało nazwać jakie dzieło Heglowskie lub filozoficzno-historycznym, żeby je okryć śmiesznością.

## II.

### Inne próby.

Problem wszakże raz wywołany, nie zniknął. Umysły pozostają dziś pod wpływem nauk przyrodzonych, tak skrupulatnych w badaniu praw natury, bezwiednie szukały ich też i w historii.

W świecie naukowym pojawiły się znów nowe zakusy historyofizyczne. Mistyk szwajcarski Rohmer uwierzył, że wynalazł analogią między państwem a ciałem ludzkim. Jego rodak, słynny publicysta niemiecki Bluntschli, w dziele „*Études sur l'Eglise et l'Etat*“ wzbіл w górę teorye nazwane „organicznymi“ i przez lat trzydzieści wszyscy pisarze i profesorowie niemieccy bawili się w ciuciubabkę rozpraw o organicznej pracy, o organicznej naturze państwa i t. d. Uczony ekonomista niemiecki Schaeffle wzięwszy za podstawę „organiczność“, ułożył cały system polityczny, a raczej socjologiczny, w którym studjuje fizyologią i psychologią ciała ludzkiego i pokazuje nam funkcye życiowe tej dziwnej istoty, w której osobnikami są komórki. Z całym uznaniem dla sprytu i fantazyi autora, pytamy, czy udowodnił, że społeczeństwo jest istotą organiczną. Oczywiście, że nie, bo zdrowy rozsądek nam mówi, że tak nie jest.

## III.

**Walka zawsze i wszędzie.**

Wychodzimy z pewnika ogólnego, charakteryzującego życie wszystkich narodów w przeszłości i w naszych oczach. Tym pewnikiem jest walka społeczeństw, to znaczy grup ludzi związanych wspólnym interesem. Oto jest treść całej historii powszechnej i polityki codziennej.

Przerzućmy roczniki narodów starożytnych i nowożytnych, rzucmy okiem naokoło siebie, weźmy w rękę dzienniki. Zawsze i wszędzie to samo widowisko i ten sam dramat: Walka między grupami ludzkimi. Choć grupy te są bardzo rozmaite, jest wszakże jakiś interes wspólny, który je jeduoczy lub rozdziela.

Pokrewieństwo, sąsiedztwo, język, religia, podjęte wspólnie przedsięwzięcia, wyprawy wojenne, bronienie przywilejów, lub walka przeciw uprzywilejowanym, oto są węzły jednoczące jedne grupy przeciwko drugim, grupy nazywające się według okoliczności gminami, tribus, narodem, klasą, stronnictwem politycznym i t. d.

Przedmiotem każdej walki socyalnej jest chęć panowania jednej grupy nad drugą, choć to panowanie przybiera rozmaite formy. W zaraniu dziejów społeczeństw walka toczyła się o powalenie wroga i pożarcie jego ciała, później starano się brać niewolnika, potem chodziło o opanowanie cudzej dzielnicy, zabranie trzód wrogiemu plemieniu i jego dobytku. W państwie już uorganizowanem celem walki jest zdobycie kilku przywilejów, stronnictwa polityczne, przedstawiające grupy swych wyborców, walczą znów o zdobycie jakichś ekonomicznych prerogatyw.

W każdym jednak razie ostatecznym celem walki, prowadzonej pod wszystkimi możliwymi hasłami jest chęć panowania jednej klasy nad drugą. Ponieważ więc ta walka o panowanie jest faktem ogólnym w historii ludzkiej, usprawiedliwiony wniosek, że nie znajdujemy w historii czynów jednostek, ale stoimy wobec zjawiska wyższego nad wolę człowieka.

Zjawiska możemy ze ścisłością matematyczną przewidzieć i w przypuszczeniu tego lub owego wypadku przepowiedzieć, jakie grupy społeczne i z jakich pobudek powstaną do walki. Przypuścimy, że w parlamencie przygotowują komisye jakies nowe prawo, n. p. o podwyższeniu podatku dochodowego. W takim razie wiemy już z góry, które stronnictwo będzie bronić owego podatku, które przeciw niemu wystąpi, jesteśmy z góry przekonani, że każde z nich bronić będzie swoich interesów, a starać się będzie o wyzyskanie drugiego.

Wyzyskiwanie, eksploatacja jest innem wyrażeniem na określenie panowania nad drugim, bo panować znaczy wyzyskiwać

żywe siły drugiego. Dzięki go zjada, barbarzyńiec wprzęga w jarzmo niewoli, człowiek cywilizowany każe pracować za najem dzienny, ale treść zostaje ostatecznie niezmienna, to wyzyskiwanie, cel walki i nagroda zwycięstwa.

Do tego celu wszędy i zawsze dążą grupy ludzkie, zarówno w lasach dziewiczych Afryki i Ameryki, jak i w parlamentach. Zjawisko to powtarza się wszędzie, jest rezultatem dążności grup, wywierających na jednostki wpływ nieprzeparty. Chociaż jednostka jest wolną, zostaje jednak pod tyranią grupy, do której należy. To druga teza socjologiczna, niestety dotychczas nie rozumiana dostatecznie. Z złego rozumienia tej zasady pochodzą wszystkie błędy teoryj politycznych rewolucyj francuskiej, stanowiącej tworzywo konstytucyj wszystkich państw nowożytnych. Wszystkie instytucje opierają się na uważaniu człowieka jako pana swej woli, wszystkie apelują do rozumu tego boga-człowieka, kiedy poprostu jest on tylko zwierzęciem, idącym bezwiednie za trzodą.

Rzućmy okiem na jakąkolwiek dziedzinę życia politycznego, a ujrzymy zawsze jednostki wykarmione na zapatrywaniach i uprzedzeniach swego środowiska w walce przeciw dążnościom grup innych. Cóż znaczy ten szal monarchistów, republikanów, socjalistów, anarchistów — to są zwalczające się grupy, bo walka społeczeństw i grup jest ostatecznym prawem życia społecznego.

Jednostka nie jest w stanie osądzić na zimno programu swej klasy i iść za nim dlatego jedynie, że go uważa za sprawiedliwy. Wyjątki w tej mierze możliwe, najwięcej wszakże broni podobnego programu jedynie dlatego, że należą do stronnictwa przez swe urodzenie, zajęcie, majątek, lub, że są pchani do tego z tysiąca innych przyczyn naturalnych, psychologicznych i społecznych. Czyż nie dzieje się to w życiu politycznym?

Dość rozejrzeć się po jakimkolwiek parlamencie, rzucić okiem na sejm, prasę, literaturę wreszcie, aby się przekonać, że mamy do czynienia nie z jednostkami, ale z klasami, do których te jednostki należą.

Tak samo i w innych kierunkach życia występuje na jaw ten syngenetyczny charakter człowieka; każdy jego czyn ze stanowiska jego odnośnin do klasy możemy określić jako wynik wpływu jej nad jednostką, a więc jako zjawisko socjalne.

#### IV.

### Jednostka jest tylko ślepem narzędziem.

Dwa te pewniki, że jednostka jest tylko ślepem narzędziem klasy, do której należy, i że jedne grupy przeciwko drugim prowadzą nieubłaganą walkę, nigdzie nie występują lepiej na jaw, jak

w ustawodawstwie karne zwłaszcza, jeżeli sprawa się toczy o przestępstwa polityczne. Młody człowiek wstępuje na trybunę i żąda chleba dla robotników bez pracy, wyrzucając państwu, że nie słucha ich słusznych skarg i żądań. Czyż można tu mówić o czynie indywidualnym. Czy nie jest to raczej wynikiem prądu myśli, głoszonych przez publicystów, popieranym częstokroć przez mężów stanu i dyplomatów. Rozumowanie i wywody tego mowcy nie pochodzą od niego-samego, to nie jego duch jednostkowy i indywidualny, ale kolektywny nasuwa mu wyrazy. Słowa płyną z atmosfery socyo-politycznej, która go otacza, którą oddycha. To prąd myśli jego czasu i jego grupy socyalnej. To zjawisko socyalne, nieunikniony skutek socyalnych przesłanek.

Co jest niestety nazbyt indywidualnym, to kara, a raczej cierpienie fizyczne, na które skazują młodego mówcę. W niemożności wstrzymać prąd, których bezwiednym narzędziem jest jednostka, władze wtrącają go do więzienia i robią męczennikiem wiary jego klasy.

Czynem indywidualnym nie jest także i wyrok sędziego, jak utrzymują prawnicy, powiadając, że nie osoba sędziego, ale prawo potępia winnych. Frazes to zupełnie banalny. Prawo jest literą martwą, nie potępia nikogo, nie wymierza kary, bo to jest zadaniem sędziego.

## V.

### Nasze prawa i nasi sędziowie.

Prawo stanowiące podstawę wyroku jest także zjawiskiem socyalnym i aktem jednej grupy przeciw drugiej.

Jeżeli wyraża zasadę, że wszelki akt przeciw istniejącemu porządkowi rzeczy powinien być karany, to nie należy zapominać, że prawo jest dziełem tych samych, którym interes osobisty każe bronić istniejącego porządku rzeczy, czyli inaczej mówiąc, prawo jest środkiem do utrzymywania dobrobytu i przewagi jednej klasy nad drugą.

Sędzia wygłaszający wyrok, pobierając pensję od rządu, z konieczności rzeczy identyfikuje się z klasą panującą, podziela jej obawy, wstręt i nienawiść jednostek grupy przeciwnej i pod sztandarem prawa wywiera barbarzyńską zemstę, charakteryzującą stosunki socyalne grup z grupami. Dlatego nie jest rzeczą obojętną wiedzieć, zwłaszcza w społeczeństwie mało cywilizowanym, do jakiej grupy należą sędziowie i oskarżony. Jest to bowiem prawem socyologicznem niestety bardzo mało znanem przez naszych prawników, że wymiar kary skazańca zostaje zawsze w stosunku pro

stym do społecznego oddalenia między grupą, do której należy sędzia, a między grupą obwinionego. W tysiącnych wypadkach możemy zauważyć, że z oskarżonych o jedno i to samo przestępstwo jeden, należący do grupy wspólnej z sędzią, będzie uniewinniony, inni poniosą kary mniej lub więcej ciężkie w miarę, jak należą do mniej lub więcej oddalonych grup.

Powiadają prawnicy, że sędzia jest niezawisłym i niezależnym, ale ta niezależność jest jedną z fikcyj przepelniających ustawy państw europejskich.

Sędzia jest człowiekiem jak i inni, jego myśli i uczucia nie są wolne od uprzedzeń i namiętności klasowych, nie może być więc bezstronnym i niezależnym.

Często słyzy się frazes, że Temida jest ślepa, ale częściej powtarza się zjawisko, że jest bardzo jasnowidząca, i że opaska, którą ma na oczach, bynajmniej nie przeszkadza jej węchowi, który doskonale odróżnia swego od obcych, nie przynależnych do grupy sędziego. Z jednej strony obwiniony, z drugiej „vendetta“ w larwie wyroku sędziowskiego, to są epizody walki socyalnej, w której silniejszy zwycięża. Błędem teoryi indywidualistycznej było, że wierzyła w aspiracye zbytniego idealizmu, które wtedy tylko były uzasadnione, gdyby człowiek był „człowiekiem“ we wzniosłem znaczeniu tego słowa. Dzisiaj jeszcze świat dalekim od tego. Człowiek jest jeszcze dzisiaj zwierzęciem gromadnem, żyjącem w gromadzie, działającem w interesie gromady i stanowiącem integralną część gromady ze swej bandy. Człowiek wyemancypowany jest dzisiaj jeszcze typem teoretycznych anarchistów, ideałem Kropotkina, Elisée Reclus, Brunona Wallis.

Było to wielkim błędem rewolucyi francuskiej z r. 1789, że na zasadzie idealnych aspiracyj sformułowała wszystkie swe ustawy. Teorye rewolucyi francuskiej zrodziły ustawodawstwo wszystkich państw Europy i dziś dzieją się najohydniejsze gwałty i okrucieństwa pod egidą wzniosłych zasad równości wobec prawa i niezawisłej sprawiedliwości.

Do socyologii należy tropić tę faryzejską obłudę i wskazywać narodom, że stały się ofiarami pozorów liberalnych, pod którymi się kryją rządy absolutne.

Chociaż socyologia jako umiejętność ogranicza się jedynie na wyjaśnianiu faktów zaszłych, wszakże stawiając na przegierzu faryzeizm rządów absolutnych, może się przyczynić do tryumfu prawdy.

Walki klas, przez którą wyrabia się cywilizacya narodów, przez to nie powstrzyma, ale przynajmniej wyeliminuje te bezczelne kłamstwa, któremi posługują się absolutne rządy dla utrzymania feudalizmu wieków średnich, tem gorszego, że odziewa się



w pozory kłamliwego liberalizmu i w praktyki liberalne, zapożyczone od wykształceńszych sąsiadów.

Rządy takie powstrzymują naturalny rozwój cywilizacji na rzecz kilku pasożytów, zbierających miliardy do miliardów dla ubezpieczenia — tak przynajmniej mówią — przyszłości swym potomkom.

Ale i te ich „wielkie czyny“ są tylko zjawiskami, które w skutkach nie okażą się ziszczeniem ich indywidualnych celów — są zjawiskami złowróżbnymi, znakiem zbliżania się powszechnego „Kladderadatsch“ — jak powiadają Berlińczycy.

*Karol Wróblewski.*



## Kobieta nowożytna. <sup>1)</sup>

(Dokończenie).

Po liście Kuniewicza, po tej świadomości, że resztki gotówki wyczerpują się, a żyć przecie trzeba, stanęło przed nią widmo nieznanego w jej życiu wyrazu — praca. Był to raczej obraz jego, niż istota. Obraz, który już widziała w osobie Henryetty. Stan jej umysłu, skreślony z doskonałą psychologią duszy, miotającej się między rozpaczą a dążeniem do niewiadomego wyjścia. Skala mąk, szamotań się, przebłytski jaśniejsze myśli, wszystko to oddane po mistrzowsku. Cierpienia moralne Janki budzą w czytelniku szacunek dla tej zuchwałej dziewczyny, rzucającej się oślep na blask idei, przedkładającej raczej niewiadomy koniec, niż życie wśród nicości myśli i wrażeń. Niezadowolenie z tego, co jest i pragnienie czegoś lepszego, bodaj za cenę całego życia — oto było kwintesencją stanu umysłu Janki. „Là — Bas!“ Tam ... Gdzie? Tam, gdzie nas niema, gdzie musi być lepiej.

Wreszcie fundusze wyczerpały się; przyszła konieczność, która zmusiła Jankę szukać pracy. Teraz dopiero rozpoczęło się dla niej życie, o którym pojęcia nie miała. Wyrazy „szukanie pracy“ łatwo dadzą się wymówić, lecz ciężko je w czyn wprowadzić. Zgnębiona moralnie i fizycznie szła od magazynu do magazynu, od warsztatu do warsztatu, czytała dzienniki i w nich szukała wskazówek — wszystko nadaremnie. Biedna kobieta nie zdawała sobie sprawy z tego, że nie umie, że praca jest nie tylko trudem fizycznym, lecz wprawą także, umiejętnością praktyczną. Nosiła więc w sercu żal do tego, który ją tak brutalnie odrzącił i pragnęła utopić swoje osobiste smutki w pracy.

Autorka przeprowadziła Jankę przez cały szereg prób, upokorzeń, smutków, zetknęła ją ze światem robotnic i wy-

<sup>1)</sup> Gabryela Z a p o l s k a : „J a n k a“, powieść współczesna t. t. 2. Warszawa 1895. Nakład Gebethnera i Wolfa.

kazała cały cynizm rzeczywistości w oku ideału o moralnym znaczeniu pracy. Większość żyła z pracy życiem zwierząt, materialnym, poddając się tak samo biernie wyzyskowi patronów, jak zwierzęta poddają się wyzyskowi człowieka. Po długich poszukiwaniach tu lub ówdzie znajdowała chwilowy przytułek, lecz był to przytułek na spokojne, lecz męki. Wszędzie prześladowała ją ten, którego tak bardzo kochała, a uciec od niego nie mogła. Jako „vendeuse“ w magazynie mód, jako zszywaczka dywanów u zalotnego tapicera — wszędzie odbywała te ciężkie próby doświadczenia życia, które niejedną już złamały i na bruk rzuciły. Doszło nareszcie do tego, że jako wyrobnica szukała „protekcji“ u tej samej Henryetty, którą kiedyś ratowała z nędzy i przyjmowała od niej obiady. Te ciężkie wędrówki za chlebem zetknęły ją ze światem robotniczym, z jego życiem, jego moralnością, postawiły ją na tej ślizkiej drodze, która często do upadku prowadzi. Zapolska przeprowadziła przez cierńnię życie paryskie Jankę czystą etycznie i w ten sposób utzymała podniosły charakter bohaterski od początku do końca.

W chwili takich walk dziewczyny, graniczących z rozpaczą, niepewności jutra, niepewności życia, w jakich żyła, Janka spotyka się nagle z Kuniewiczem. Miłość walczy w jej duszy z nienawiścią. Rada-by go tak brutalnie odepchnąć, jak on ją odepchnął. Był blady, wynędzniały, robił wrażenie chorego na gorączkę człowieka.

— Skąd się pani wzięła w tem quartier? Co pani tu robi? Czy pani się zapisała na jakie kursa?

— Nie — odparła Janka — pan wie, że ja przecież nie jestem w stanie zdać bakalaureatu.

— To źle. Nie trzeba próżnować i bawić się w Paryżu — trzeba pracować.

— Ja pracuję . . .

— O, pani praca! — Rozśmiał się i powtórzył ironicznie: o, pani praca!

Oczywiście, nie miał pojęcia o jej życiu. Nie rozumiał uczuć dziewczyny, nie potrafił odgadnąć jej myśli. „Mam ideę, i ta powinna mi starczyć za wszystko“, według takiej wytycznej pragnął Kuniewicz życiem swoim kierować. Nie wiedział, że idea może kierować pracą, ale nie życiem ludzkim.

Janka miała w sobie tyle dumy, że na jego gryzącą ironię zacięła usta milczeniem. Czowała się obrażoną, upokorzoną przez niego, a jednak — szła za nim jak cień do Czerwonego pałacu — do przybytku nędzy paryskiej, aby tam wypić szklankę wstrętnego piwa i przyglądać się scenom dzikiej wesołości.

Pracować siłą swych mięśni lub zręczności palców na chleba kawałek ciężko wszędzie, a tembardziej cudzoziemcowi, wychowanemu bez pojęcia o pracy, wśród obcego miasta, gdzie o zdobycie prawa do życia walczyć potrzeba. W takim położeniu znalazła się Janka. Jedna chwila wysiłku — i mogła wyjść z niego, przeniosła jednak upokorzenie, gorycz szukania chleba, nagłe wybuchy wstydu, bo to wszystko razem wzięte dawało jej więcej przecież, niż nicosć salonowego życia. Teraz dopiero poznała ogrom nieszczęścia przygniatającego ludzkość, jeśli nie wszystkie, to wiele z tych ran ropiących się w ciichości, pokrytych pozłacaną i wesołą powłoką życia; duszą i myślą zrozumiała różnice między wyżynami, a nizinami społeczeństwa, przekonała się, że dla tych nizin „społeczeństwa, zamiast gruntownej reformy duszy i ciała, miało — eskorty agentów, kraty Saint-Lasare, a Chrystus — słowa pociechy i bezgranicznego przebaczenia“.

Z więzienia policyjnego, gdzie Janka spędziła noc, blakając się głodna i nie mająca gdzie głowy pochylić, zbliżyła się nareszcie zmęczona i zgnębiona moralnie do przytułku nocnego na polu Marsowem, gdzie setki innych, takich samych jak ona, na otwarcie drzwi tego domu czekały, aby zdobyć w nim trochę miejsca dla przespania się, trochę ciepła i światła.

Tu znalazła nareszcie nietylko przytułek, lecz i pracę — pielęgnowaniem innych, zmęczonych i znużonych życiem, jak sama. Otwierały się jej powoli oczy na jeden z najmniej uznanych, lecz najwięcej szlachetnych obowiązków człowieka — pożytecznej pracy dla innych. Tu, w otoczeniu nędzy „Janka przychodziła do siebie moralnie i fizycznie, jadła z dozorczynią przytułku i z infirmierkami, sypiała trochę we dnie, a w nocy zajmowała się umieszczeniem przybywających, kąsała i kąpała dzieci, a nawet prała ich odzienia, suszyła je przy ognisku i kładła cicho na sienniku koło właścicielki, szczęśliwa na myśl chwilowej radości, jaką odczuje to biedne ciało, w czystą obleczone szmatę“. Cierpienia własne i innych przynosiło jej powoli równowagę moralną. Ozuła, że jest tu jej dobrze i spokojnie, a zadowolenie streszczało się w słowach: „wypełniam mój obowiązek“.

Powoli uczyła się wnikać w dusze innych ludzi, zwykle zamknięte i głuche; boleść cudza stawała się jej boleścią, smutek — jej smutkiem. Poczynała rozumieć ten wielki łącznik, który spaja ludzkość całą w niewidzialne ogniwa i tworzy wspólną rodzinę — człowieczeństwo. Postacie takich robotnic, jak Henryetta i Eugenia, upadłych moralnie nie z żądzy rozkoszy, lecz w chęci ulżenia życiu, wsunięte przez autorkę do

powieści wciskały się także w życie Janki, w jego troski i radości. Myśl o nich częściej gościła w jej głowie, niż myśl o rodzinie.

Raz, gdy wyszła z przytułku noclegowego, w którym dzięki kierownikowi znalazła stałe zajęcie, ażeby się dowiedzieć o losie Henryetty, znalazła u odzwiernej list od Kuniewicza. „Chcę i muszę się z panią widzieć — pisał. — Do pani przyjść nie mogę. Jestem chory lub dziwnie wyczerpany. Przy pani znajdę może uspokojenie“.

W umyśle i w duszy tego fanatyka idei zaszły także zmiany wielkie. Wyniszczony pracą bez pożytku, tak samo jak setki tysięcy tych, którzy w przytułkach noclegowych szukali odpoczynku i spokoju, żył dzięki tylko myśli, że szerzy światło wielkiej idei ludzkości — szacunku i współczucia dla pracy. Ale godziny jego gorączkowego życia były już policzone.

Gdy Janka do niego weszła, posadził ją na kanapce, usiadł przy niej i chwilkę na nią patrzył.

— To pani — wyrzekł wreszcie — pani? u mnie? Byłaś tu tak często w myślach moich! Teraz jesteś wreszcie... to dobrze... to bardzo dobrze...

Pochylił się i na ręce Janki głowę położył.

Nędza, chłód, technienie śmierci otaczały ten przybytek, gdzie zwyciężone ciało już leżało w ruinie, a walczyła — myśl tylko. Ten do niedawna nieugięty człowiek, wyglądał jak dąb złamany burzą, w głosie jego zamiast tonów stanowczych i ostrych jak dawniej, brzmiały echa zwątpienia, niewiary, smutku i odzywały się jakieś dźwięki łagodne i smutne, których dawniej brakło jego myślom i jego skali głosu. „Jak się pani zmieniła! — wołał do niej — wypiękniałaś i wyszlachetniałaś... Czyś zapomniała o wszystkim, o tem co między nami zaszło?“ Janka miała tylko jedną odpowiedź: „nie!“ „Panu nie wolno było mnie nie rozumieć — panu jednemu, panu jedynemu. Obudziłeś we mnie uczucie ludzkie i serdeczne, a potem poszedłeś, nie obróciwszy nawet głowy za mną...“

Tak się zdawało obojgu, a jednak było to nieprawdą. Kochali się wzajemnie, lecz zapóźno zrozumieli zarówno głębię swojej miłości, jak i nić, która ich łączyła. Był nią wielki płacz i wielki jęk bólu ludzkości.

Chwila ich poznania się była chwilą rozłąki. On umarł w szpitalu, ona — wróciła na łono rodziny de Padół Podolskich — konającej w zaduchu tradycyji pańskich. Powrót przeobrażonej Janki do domu, na którą rodzina patrzyła, jak na wariatkę, obejmuje psychologiczne momenty w jej życiu bardzo ciekawe i godne przestudyowania, jednakże nie zmieniające już

w niczem zasadniczych rysów, zdobytych w Paryżu. Pominę je przeto zupełnie.

Widzieliśmy tedy Jankę w dwojakiej sferze, dwojakim otoczeniu, w dwojakich, wręcz sobie przeciwnych pod każdym względem warunkach życia; jako poczwarkę, którą los rzucił w rodzinę de Padół Podolskich i skończony owad, wypielegnowany życiem zupełnie odmiennem, niż było życie poczwarki.

Na czem-że właściwie nowożytność takiego typu polega?

Spoglądając tylko na czyny Janki od początku jej wystąpienia w powieści, śledząc te wszystkie perypetye, przez które ją prowadziła autorka, możnaby określić ją jako typ nieświadomej awanturnicy, jako zapaloną głowę, nie bardzo zdającą sobie sprawę z tego, ani dokąd idzie, ani dokąd zajdzie. Posiadamy na określenie tego typu wyrazy — „narwana“ — i chętnie niem posługujemy się.

Inne wszakże wnioski wyciągnąć się dadzą z psychologii tych czynów i z psychologii charakteru Janki. Nie potrzeba być wcale pilnym badaczem natury ludzkiej, aby w tym typie dostrzedz wielką dozę szlachetności; daje to piękny podkład moralny charakterowi bohaterki powieściowej, a na takich fundamentach dużo budować można. Dowody tej szlachetności znajdujemy nie tylko w stosunkach z rodziną — z bratem i siostrą — ale daleko bardziej uderzają one w jej życiu paryskim, przy zetknięciu się ze światem wyrobniczym, z Henryetą i Eugenią, a przybierają zupełnie cechy bohaterstwa, gdy Janka występuje w oświetleniu idei — jak n. p. w czasie służby w przytułku noclegowym.

Ten rys charakteru czyni Jankę odrazu głębszą, piękną moralnie, a prawda, z jaką Żapolska potrafiła go zawsze uwypatnić, nie pozwala czytelnikowi nigdy stracić szacunku dla niej.

Ale czy na tem ma polegać nowożytność typu? Bynajmniej. Szlachetne i piękne charaktery są rzeczą bardzo zwykłą na świecie, a pośród kobiet, szczególnie naszych, nigdy ich nie brakło.

Pojęcie nowożytności typu kobiecego nie da się jeszcze ani sformułować jasno, ani przedstawić w zupełnym wykończeniu. Według mego mniemania jest to rzecz zupełnie naturalna. Takiego typu żeńskiego w formie skończonej niema — objawia się on dopiero w formie przeobrażania się, kształtowania się i posiada zaledwie kilka rysów wybitnych, które raz przedstawiają się w kształtach dodatnich, innym razem — ujemnych, zależnie nie tylko od oświetlenia, lecz od pojmowania ich i plastycznego wystąpienia w pewnych warunkach. Ostateczny mo-

ralny rezultat dążeń — jeżeli go można w ten sposób określić — także stanowi wiele, bo na podstawie tych rezultatów wytwarza się sąd przeciętny. Człowieka, którego praca osobista, czy publiczna rozprasza się w nicość, atomizuje się, lub przybiera cechy ujemne, nikt nie nazywa ani pięknym, ani pożytecznym. Ale czy to przeszkadza mu posiadać pewne rysy nowożytne? Wcale nie.

Coś podobnego dzieje się obecnie z przeobrażaniem się całego świata umysłowego i moralnego kobiet. Spozstrzegać się w nim dają rysy wysoce piękne, którym życie nałaje nieraz ciemne zabarwienie, pomimo to rysy takie nie tracą cechy nowości.

Kobieta europejska, a więc i nasza stoi dziś na wielkim dziejowym przełomie: z jednej strony piętrzą się dawne prawa i zwyczaje, które zakreśliwszy raz dla niej pewne koło, poza tem kołem nie uznają życia normalnego; z drugiej staje do walki żądanie innych praw. Że druga strona zwyciężyć musi — to nie ulega wątpliwości żadnej, gdyż zwycięstwo takie rozpiera znacznie ciasne pojęcie dzisiejszej emancypacji. Nie będzie to bynajmniej zwycięstwo idei, płci lub kierunku, lecz zdobycz cywilizacyjna, zwycięstwo ludzkości, jeden z kroków na drodze jej postępu. Jednakże prawa dla każdego człowieka bez różnicy płci, w każdym zakresie — oto będzie ostateczny rezultat tego wielkiego zwycięstwa.

Chwila obecna jest chwilą walki, która unosi zapaśników i cel prawdziwy nieraz zakrywa przed nimi. Zupełnie tak samo jak w walce orężnej.

Kobieta nowożytna dzisiejszej doby, jest typem przełomowym, która dziś wyrывa się przedewszystkiem z koła, jeżeli nie dawnych praw, bo żelaznej ich obręczy przerwać nie zdoła sama, to przynajmniej poza obręb zwyczajów tradycyjnych. Punktem dośrodkowym zadań, celów i obowiązków kobiety dawnej była rodzina, z pracą dla niej, sięgającą aż do ideału poświęcenia się; wobec osobistych smutków i rozczarowań istniała dla niej jedyna ucieczka — klasztor. Kobieta nowożytna nie zapiera się bynajmniej obowiązków i celów dawnych, zakreślonych jej prawami natury, lecz marzy o tem i powoli dąży do tego, ażeby zakres celów i obowiązków tradycyjnych rozszerzyć do celów i dążeń ogólnoludzkich. Płeć jest kwestyą losu, wypadku, sama przez się nie jest ani wadą ani zaletą. Kobieta terazniejsza czuje się także człowiekiem, praw przynależnych człowiekowi żąda, a do zadań, zakreślonych jemu warunkami życia, dąży.

Zadania te i cele zamykają się w jednym wyrazie: wolność pracy, ale wolność na każdym polu, nie hamowana prawem, a kierowana tylko wyborem i uzdolnieniem osobistem. I dziś wielu bardzo dośrodkowy punkt tej pracy widzi tylko w rodzinie, jak widziano ledwie nie od zawiązku rodziny. To dowodzi ważność tego punktu, lecz nie usprawiedliwia jego jednostronność. W dzisiejszych warunkach życia wygląda to tak, jak gdyby ktoś przywiązał człowiekowi jedną rękę do boku i żądał od niego tej samej sumy pracy, jakiejby żądał od człowieka, posiadającego obie ręce zdolne i silne. Krępowanie kobiet zacieśnianiem ich obowiązków i zadań, przykuwanie ich pracy do ogniska domowego i do tych wązkich dróg zarobkowych, które tradycyjnym zwyczajem przywiązane są do rąk kobiecych, jest to utrudnianie jej walki o życie i spychanie na drogi wykoszlawienia moralnego. Pamiętajmy o tem, że wykoszlawianie moralne kobiety jest to zatrucie organizmu społecznego i narodowego. Takie zatrucie widzieliśmy w starożytnym Rzymie — doprowadziło ono społeczeństwo tamtoczesne do rozkładu, do ruiny. W naszych czasach coś bardzo podobnego dzieje się wśród wielkich skupień ludzkości Paryża, Londynu i innych wielkich miast, a z tych ognisk przenosi się dalej i dalej.

Niewolę, ze zwyczaju i prawa płynącą, kobieta naszej doby odczuwa doskonale i walczy o jej usunięcie — nie zawsze dość poważnie, niezbyt świadomie i niezbyt pomyślnie. Ale to nie wyklucza bynajmniej ważności i słuszności zadania i walki. Pojęcie tych zadań nie weszło jeszcze w krew i kości kobiet dzisiejszej doby, a środki i drogi nie przeniesione jeszcze na pole właściwe — tam gdzie się tworzą i zmieniają prawa.

Rodzina nie zawsze wystarcza kobiecie i nie zawsze ją zadowalnia — tak samo jak mężczyznę, a jednak mężczyzna znajduje poza rodziną środki do życia i najchlubniejszą pracę, dla kobiety rzadko podwoje te bywają otwarte.

Zdaje się, że chwilę podobną miała na myśli autorka *Janki*, zamknawszy swoją bohaterkę w ciasne koło takiej właśnie rodziny, którą niezdrowe tradycje zaraziły i sprowadziły rozkład zupełny. Brak było tej rodzinie spójni moralnej. Brat poza jej koło nie był w stanie wyrwać się — i zginął marnie; Pola od próżniaczego życia przeszła do celi klasztornej, mieniając jedno za drugie bez żalu, a może i bez zastanowienia. Janka tylko „zaawanturowała się“ i to dzięki temu, że przypadek rzucił w jej duszę kilka nasionek, niewiadomo jakich, niewiadomo skąd przyniesionych, które tam kiełkowały bez świadomości, co z nich wyrośnie. Po ciężkiem i długiem



doświadczeniu wyrosły z nich miłość i poszanowanie pracy bez względu na jej charakter. W tem także tkwi pewna cecha nowożytności dzisiejszej kobiety.

Ale tego nie dosyć. Na przypadkowości się nie buduje.

Psychologiczny stan najnowszego typu kobiety da się streścić w nieokreślonym żądaniu czegoś innego: innej niż dotychczas pracy, innej nauki, innego położenia, innych praw. Jest to stan i wynik zupełnie usprawiedliwiony i słuszny. Ogólny poziom umysłowy nowożytnego społeczeństwa poszedł bardzo przodem, podniósł się stopień cywilizacyjny, zatem do głów ludzkich weszła pewna suma myśli i pojęć nieznanych dawniej; kobieta nasiąkla niemi także w szkole i w otoczeniu, lecz zetknąwszy się z życiem, przekonała się, że drogi do zrealizowania tych pojęć i myśli prowadzące, zamknięte przed nią. Rzuciła się tedy na oślep, zamknięte drogi obchodziła ścieżkami i z tej racji zmuszoną była błądzić często. Można potępić drogi, raczej ścieżki, któremi szła, ale celów i kobiety potępić nie podobna.

Skutkiem tego wytworzyła się wśród dzisiejszego pokolenia kobiet większa ilość typów, od starej daty począwszy, a skończywszy na entuzyatkach szlachetnych lub śmiesznych. O wartości typu stanowiła wartość indywidualna. Wszystkie one dadzą się podciągnąć jednak pod określenie kobiety z doby przejściowej. Wszystkie one: namienne emancypantki, zapalone feministki, gorące zwolenniczki nauki i światła, posiadają jedną cechę wspólną, których kobiecie dawnego autoramentu brakło prawie zupełnie: dążność do zdobycia jak można najszerszej wiedzy, pragnienie rozszerzenia ciasnego dotychczasowego zakresu pracy i upatrywanie w pracy samej moralnego ideału ludzkości.

Nie we wszystkie wprowadzie cechy, lecz w wiele bardzo podniosłych i szlachetnych wyposażała autorka swoją Jankę.

*Fr. Rawita.*

